

STEPHEN KING

DOLORES CLAIBORNE



O co pytałeś, Andy Bissette?

Czy rozumiałam, jakie przysługują mi prawa?

Boże, dlaczego faceci są tacy tępi?!

Nie, to ty się nie irytuj – przestań kłapać jadaczką i posłuchaj mnie chwilę. Coś mi się zdaje, że i tak będziesz mnie słuchał przez cały wieczór, więc równie dobrze możesz zacząć już teraz. Pewnie, że wszystko rozumiałam! A co, czyżbyś myślał, że doszczętnie pomieszało mi się w łepetynie, odkąd spotkałam cię w sklepie? Przecież to było zaledwie w poniedziałek! Pamiętasz, powiedziałam, że żona łeb ci urwie, kiedy pokażesz się w domu z czerstwym bochenkiem chleba – oszczędzasz grosz, a tracisz trzos, jak powiada przysłowie – i założę się, że miałam rację, co?

Jasne, wiem, jakie mam prawa, Andy; matka nie wychowała mnie na idiotkę. Znam także swoje obowiązki, na własne nie-szczęście!

Mówisz, że wszystko, co powiem, może zostać użyte przeciwko mnie w sądzie? No, no, to mi dopiero nowość! A ty, Frank Proulx, przestań tak głupio szczerzyć zęby. Może inni uważają cię za cwanego glinę, ale ja pamiętam, jak jeszcze niedawno latałeś z mokrą pieluchą między nogami i tym samym dumnym uśmiechem na pysku. Dobrze ci radzę, mój mały: kiedy masz do czynienia z taką wygadaną babą jak ja, lepiej

powściągnij chichotki. Wiem, co tam sobie myślisz: wszystko masz wypisane na gębie, wszystko jest na wierzchu, zupełnie jak na reklamie bielizny w katalogu Searsa.

Dobra, koniec żartów; czas przejść do rzeczy. Zaraz opowiem wam nie lada historię i pewnie wiele z tego, co usłyszycie, można by użyć przeciwko mnie w sądzie, gdyby komuś chciało się rozgrzebywać całą sprawę po latach. Najzabawniejsze jest to, że mieszkańcy wyspy i tak prawie wszystko wiedzą, a mnie przestało już zależeć na ukrywaniu prawdy... zależy mi na tym jak na wczorajszym gównie, jak mawiał stary Neely Robichaud, kiedy mu szumiało w czubie. A szumiało mu bez przerwy, co potwierdzi każdy, kto go znał.

Natomiast obchodzi mnie co innego i dlatego przyszedł tu sama, nie czekając na żadne wezwanie. Nie zabiłam tej wiedźmy Very Donovan i zamierzam cię o tym przekonać, Andy. Pewnie podejrzewasz, że zepchnęłam ją z tych cholernych schodów, ale nawet taka myśl nie powstała mi w głowie. Jak zechcesz przytknąć mnie za to, co zrobiłam kiedyś, nie będę mogła mieć do ciebie pretensji, ale naprawdę nie ciąży na mnie krew tej szajbniętej jędry. Jak usłyszysz całą historię, uwierzysz mi, Andy, co do tego nie mam wątpliwości. Zawsze był z ciebie dobry, uczciwy chłopak i wyrosłeś na porządnego faceta. Ale niech ci moje słowa nie uderzą do głowy; to nie twoja zasługa, tylko twojej matki, która prała ci gacie, wycierała nos i pilnowała, żebyś wyszedł na ludzi.

Jeszcze tylko jedno, zanim na dobre rozpocznę swoją gadkę – znam ciebie, Andy, i znam, oczywiście, Franka, ale kim jest dziewczyna z magnetofonem?

Chryste Panie, Andy, przecież wiem, że to stenotypistka! Chyba mówiłam ci przed chwilą, że matka nie wychowała mnie na idiotkę, co? Fakt, że w listopadzie skończę sześćdziesiąt sześć lat, to jeszcze nie powód, żeby traktować mnie tak, jakby brakowało mi piątej kleпки. Wiem, że dziewczyna z magnetofonem i bloczkiem do stenotypii jest stenotypistką. Przecież oglądałam w telewizji wszystkie serie rozgrywające

się w sądzie, nawet „L.A.Law”, w którym jeszcze nie zdarzyło się, aby minął kwadrans i nie pokazali golizny.

Jak ci na imię, skarbie?

Aha... a skąd pochodzisz?

Uspokój się, Andy. Co masz dziś lepszego do roboty? Czyżbyś planował urządzić zasadzkę na plaży, w nadziei że uda ci się zdybać paru gości, którzy bez pozwolenia wygrzebiują z piachu małże? Jeszcze byś dostał ataku serca z podniecenia, ha, ha!

No właśnie. Teraz jest w porządku. Czyli nazywasz się Nancy Bannister i pochodzisz z Kennebunk, tak? Ja nazywam się Dolores Claiborne i pochodzę stąd, z wyspy Little Tall. Wspomniałam, że zamierzam gadać przez ładne parę godzin, i przekonasz się, że wcale nie bujałam. Więc jeśli będziesz chciała, żebym mówiła albo głośniej, albo wolniej, nie krępuj się, tylko powiedz. Nie masz się co wstydzić. Chcę, żebyś dobrze zapisała i wyraźnie nagrała każde moje słowo, poczynając od tego, co powiem w tej chwili: dwadzieścia dziewięć lat temu, kiedy obecny tu komendant policji Bissette chodził do pierwszej klasy podstawówki i zbierał zdjęcia sławnych baseballistów, zabiłam mojego męża, Joego St. George’a.

Czuję jakiś przeciąg, Andy. Czyżby tak wiało z twojej rozdziawionej gęby? No i co tak szeroko wybałuszasz gały? Przecież wiesz, że zabiłam Joego. Wiedzą o tym wszyscy na wyspie, a także z połowa mieszkańców Jonesport po drugiej stronie przesmyku. Tyle że nikt nie był w stanie nic mi udowodnić. Nie stałabym teraz przed tobą, Frankiem Proulxem i Nancy Bannister z Kennebunk, przyznając się do zabicia Joego, gdyby ta szurnięta prukwa nie wycięła mi na koniec takiego numeru.

No, ale to już ostatni raz, kiedy mi zalazła za skórę. Tym się pocieszam.

Przysuń magnetofon nieco bliżej, złociutka; skoro już nagrywamy, nie chcę żadnej obsuwy. Ale ci Japońce wyrabiają przemysłne cudeńka, nie ma co... Obie chyba wiemy, że przez to, co się nagrywa na taśmie obracającej się wewnątrz, mogą trafić za kratki na resztę życia. Trudno, nie mam wyboru. Jak

mi Bóg miły, zawsze wiedziałam, że prędzej czy później Vera zrobi mi koło dupy – wiedziałam o tym, jak tylko ujrzałam ją pierwszy raz. I patrzcie, jak mnie urządziła; patrzcie, jak mnie załatwiła ta stara zołza. Tym razem naprawdę zrobiła mnie na szaro. Ale tacy już są ci bogacze; albo skopią cię tak, że gotów jesteś się przekręcić, albo zaduszą cię na śmierć swoją cholerną miłością.

Co?

Chryste Panie, Andy! Zaraz do tego dojdę, nie poganiaj! Wciąż nie mogę się zdecydować, czy opowiadać wam wszystko po kolei od samiusieńkiego początku, czy lepiej zacząć od końca... A nie macie tu przypadkiem nic na zwilżenie gardła?

E tam, w dupie mam twoją kawę! Wsadź se głęboko cały pieprzony dzbanek. Już wolę szklankę wody, jeśli taki z ciebie sknera, że żałujesz mi łyeczka whisky z tej butelki Jima Beama, którą trzymasz w szufladzie biurka. Nie zamierzam...

Jak to, skąd wiem? Jezu, Andy Bissette, gdybym nie знаła cię tak długo, gotowa bym sądzić, że coś tam u ciebie nietęgo pod sufitem. Myślisz, że śmierć mojego męża jest jedyną rzeczą, o jakiej plotkują mieszkańcy wyspy? Zresztą, to już przebrzmiała historia. Co innego ty. Każdego aż świerzbi, żeby wziąć cię na język.

Dzięki, Frank. Z ciebie też był zawsze porządny dzieciak, choć mi się niedobrze robiło w kościele na twój widok, dopóki matka nie odzwyczaiła cię wreszcie od dłubania w nosie. Jezu, czasem tak głęboko wpychałeś paluch do środka, że mało brakowało, byś wyciągnął sobie mózg. Coś się tak zaczerwienił, do licha? Przecież wszystkie dzieciaki dłubią, zupełnie jakby nos był kopalnią, a gluty zielonym złotem. Dobrze, że przynajmniej w kościele nie trzymałeś łap w kieszeniach i nie bawiłeś się w bilarda jajami, jak inne chłopaki, które nigdy...

Tak, Andy, tak, już wracam do sprawy. Co się tak wierzisz niecierpliwie, jakby cię mrówki oblażyły?

Wiecie co? Pójdę na kompromis. Ani nie będę opowiadać wam wszystkiego od końca, ani od początku, tylko zacznę od

środku. Jak masz coś przeciwko temu, Andy Bissette, napisz zażalenie na kartce, wsadź do koperty i wyślij do Pana Boga.

Mieliśmy z Joem troje dzieci; kiedy pochowałam go w lecie sześćdziesiątego trzeciego, Seleną miała piętnaście lat, Jim trzynaście, a mały Pete zaledwie dziewięć. Zostałam bez grosza, biedna jak mysz kościelna, nawet dupę musiałam sobie podcierać gazetą...

Usuniesz później moją łacinę, prawda, Nancy? Jestem po prostu starą babą z niewyparzoną gębą i parszywym charakterem, ale tak już jest, kiedy się wiodło pieskie życie.

Aha, o czym to ja mówiłam? Jeszcze nie zaczęłam, a już mi się wszystko poplątało.

A... tak, tak. Dzięki ci, aniołeczku.

Jedyne, co mi Joe pozostawił, to tę walącą się rudę przy Wschodnim Cyplu i sześć akrów ziemi porośniętych płataniną jeżyn i chaszczy, których nijak nie daje się wykarczować. I co jeszcze? Niech no się zastanowię. Trzy stare półciężarówki, z których żadna nie była na chodzie, cztery sęgi drewna i niezapłacone rachunki w sklepie spożywczym, w sklepie z narzędziami, u dostawcy ropy i w zakładzie pogrzebowym... a jakby tego było mało, to zanim minął tydzień, jak go pochowałam, przylazł ten pijus Harry Doucette, oby go poskręcało, z wekslem na dwadzieścia dolców, które Joe przegrał do niego, zakładając się o jakiś mecz baseballowy!

Może myślicie, że wpadło mi parę groszy z jego polisy ubezpieczeniowej? Ha! Dobrze sobie! Joe nigdy się nie ubezpieczył, choć może to i lepiej, zważywszy na jego koniec. Opowiem wam, co się stało, nie bójcie się, ale w tej chwili chcę wam przede wszystkim uświadomić jedno: Joe St. George nie był dla mnie mężem; był cholernym kamieniem młyńskim, który nosiłam u szyi. Prawdę powiedziawszy, wołałabym już kamień od niego, bo przynajmniej by się nie upijał, nie wracał do domu po nocy, cuchnąc piwskim i nie próbował mnie wyruchać o pierwszej nad ranem. Nie dlatego zabiłam skurwysyna, ale właśnie od tego zacznę swoją historię.

Wierzcie mi, wyspa to najgorsze miejsce na popełnienie morderstwa. Zawsze ktoś się kręci w pobliżu, gotów wetknąć nos w nie swoje sprawy, akurat kiedy najchętniej popędziłoby się go, gdzie pieprz rośnie. Dlatego załatwiłam Joego właśnie wtedy, kiedy to zrobiłam. Niedługo się o wszystkim dowiecie, a na razie powiem wam tylko, że zabiłam go mniej więcej trzy lata po tym, jak mąż Very Donovan zginął w wypadku samochodowym pod Baltimore, gdzie mieszkali cały czas z wyjątkiem wakacji, które spędzali na Little Tall. W tamtych czasach Vera miała jeszcze umysł sprawny jak szwajcarski zegarek.

Po śmierci Joego nie było mi łatwo... wierzcie mi, nikomu nie jest tak ciężko związać koniec z końcem jak samotnej kobiecie z trójką dzieci na karku. Już właściwie postanowiłam, że przeprawię się na drugą stronę przesmyku i poszukam pracy w Jonesport, jako kasjerka w supermarkecie albo kelnerka w knajpie, kiedy nagle ta zołza zdecydowała się mieszkać na wyspie przez okrągły rok. Ludzie myśleli, że babie do reszty odbiło, ale ja się nie zdziwiłam – w tym okresie już i tak spędzała tu większość czasu.

Jej fagas – nie pamiętam, jak się nazywał, ale wiesz, o kogo mi chodzi, Andy, o tego rośłego przygłupa, który pracował u niej jako kierowca i specjalnie nosił obcisłe portki, żeby każda baba od razu widziała, jaką ma wielką pałę – zadzwonił do mnie i oznajmił, że pani właścicielka („pani właścicielka” – zawsze ją tak nazywał, ten jełop) chciałaby wiedzieć, czy jestem gotowa pracować u niej na stałe jako gospodyni. Od pięćdziesiątego pracowałam tam w każde lato, więc było całkiem naturalne, że zadzwonił najpierw do mnie, ale w owym czasie wydało mi się to istnym darem niebios. Zgodziłam się od ręki i pracowałam u Very aż do wczorajszego ranka, kiedy to zwała się po schodach i rozbiła sobie ten swój pusty, durny łeb.

Czym się zajmował jej mąż, Andy? Produkował samoloty, tak?

Aha. Ano tak, pewnie o tym słyszałam, ale wiesz, jak jest z plotkami, które się słyszy na wyspie. Jedno, co do czego nie

miałam wątpliwości, to że siedzieli na szmalu, na kupie szmalu, i że po jego śmierci wszystko przypadło jej w udziale. Z wyjątkiem tego, co rząd zagarnął w podatkach, oczywiście, lecz nie sądzę, żeby zagarnął więcej niż ułamek swych należności. Michael Donovan był bystrym facetem. I cwany jak lis. I chociaż nikt, kto znał ją przez ostatnie dziesięć lat, by w to nie uwierzył, Vera była kiedyś nie mniej cwana od niego... aż do dnia jej śmierci zdarzały się okresy, gdy miała piekielnie bystry umysł. Ciekawe, czy wiedziała, w jakie wpakuje mnie tarapaty, jeśli umrze inaczej niż na atak serca w swoim własnym łóżku? Spędziłam dziś większość dnia na Wschodnim Cyplu, siedząc na rozklekotanych schodach i rozmyślając o tym... i o tysiącu innych spraw. Z początku wydawało mi się, że to niemożliwe, że przecież miska owsianki ma więcej rozumu niż Vera Donovan miała pod koniec życia, ale potem przypomniałam sobie te jej numery z odkurzaczem i uznałam, że może jednak... może jednak wiedziała...

Ale teraz to już nieistotne. Ważne jest tylko to, że nagle grunt zaczął mi się usuwać pod nogami. Muszę się ratować, jeśli mam choć cień szansy.

Rozpoczęłam pracę u Very jako gospodyni, ale pod koniec byłam jej opiekunką. Jako gospodyni dawałam Verze sobą pomiatać osiem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu. Jako opiekunka byłam jej popychadłem na okrągło.

Pierwszy wylew miała latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku w trakcie oglądania relacji ze zjazdu demokratów w Chicago, na którym wyłonili swojego kandydata na prezydenta. Był to mały wylew, za który winiła później Huberta Humphreya.

– Jak spojrzałam na tego rozanielonego dupka, po prostu krew mnie zalała i pękło mi jakieś naczynie – powtarzała. – Mówi się trudno; równie dobrze mógł to spowodować Nixon.

Kolejny, znacznie poważniejszy wylew nastąpił siedem lat później; tym razem nie mogła zrzucić winy na żadnych polityków. Doktor Freneau przestrzegał ją, kazał jej rzucić palenie

i picie, ale niepotrzebnie strzepił sobie język – taka elegancka dama jak Vera Całuj-Mnie-W-Tylek nie zamierzała słuchać byle wiejskiego lekarza.

– Jeszcze go przeżyję – twierdziła. – Wypiję szklankę whisky z lodem, siedząc na jego grobie.

Przez pewien czas zdawało się, że może rzeczywiście tak się stanie; Chip Freneau wciąż ją beształ, a ona nic sobie z tego nie robiła, tylko pruć naprzód pełną parą, dokładnie jak „Queen Mary”. Ale w osiemdziesiątym pierwszym miała naprawdę potężny wylew, a następnego roku jej fagas zabił się w wypadku na lądzie. Właśnie wtedy się do niej wprowadziłam – w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

Czy musiałam? Sama nie wiem, chyba nie. Dostawałam rentę, a renta nie mięta, jak mawiała stara Hattie McLeod. Nie było tego wiele, ale dzieciaki już dawno wyniosły się z domu – mały Pete to aż na tamten świat, biedaczek – zdołałam też odłożyć trochę grosza. Życie na wyspie zawsze było tanie i choć bardzo podróżowało, wciąż jest o niebo tańsze niż na lądzie. Więc nie, nie musiałam wprowadzać się do Very.

Jednakże przez te wszystkie lata przywykłyśmy do siebie. Trudno to wyjaśnić facetowi. Myślę, że Nancy ze swoimi bloczkami, długopisami i magnetofonem rozumie mnie doskonale, ale ona pewnie ma pisać, a nie potakiwać. Przywykłyśmy jak dwa stare nietoperze, które latami wiszą obok siebie do góry nogami w pieczarze, choć wcale nie stałyśmy się przyjaciółkami. Zresztą przeprowadzka do Very niewiele zmieniła w moim życiu – tyle że chowałam teraz swoje wyjściowe sukienki do tej samej szafy co robocze – bo przed jesienią osiemdziesiątego drugiego i tak spędzałam u niej nie tylko całe dni, ale i większość nocy. Kiedy się wprowadziłam, zaczęłam zarabiać nieco lepiej, ale nie aż tak dużo, żebym mogła kupić sobie na raty pierwszego w życiu cadillaca, ha, ha!

Chyba zdecydowałam się zostać opiekunką Very głównie dlatego, że nie było innych chętnych. W Nowym Jorku jej in-

teresy prowadził niejaki Greenbush, ale przecież nie zamierzał się przenieść na Little Tall, żeby Vera mogła wydzierać się do niego z okna sypialni, by na pewno przypiął każde prześciera-dło sześcioma, a nie czterema spinaczami. Nie zamierzał wpro-wadzić się do pokoju gościnnego, zmieniać Verze pieluch, myć jej zafajdanego starego dupska, słuchać oskarżeń, że rąbnął jej kilka dziesięciocentówek z cholernej porcelanowej świnki i ona już dopilnuje, żeby go zamknęli do mamra. Greenbush prowadził interesy Very, ja myłam ją z gówna i słuchałam jej bzdetów o prześcieradłach, kotach kurzu i cholernej porcela-nowej śwince.

I co z tego? Nie uważam, że należy mi się złoty krzyż czy choćby skromny medal. Wytarłam w swoim życiu niejeden tyłek, nasłuchałam się wiele bzdetów (w końcu było się żoną Joego St. George’a przez szesnaście lat) i korona mi z głowy nie spadła. Myślę, że zgodziłam się nią zająć, bo nie miała nikogo innego; wybór był taki, że albo ja, albo dom starców. Dzieci nigdy jej nie odwiedzały i z tego powodu było mi Very szczerze żal. Nie oczekiwałam, że rzucą wszystko i zaczną się nią same zajmować na okrągło, bez przesady, ale – choć nie wiedziałam, o co im poszło – nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego się z nią wreszcie nie pogodzą. Mogliby co jakiś czas wpaść na weekend albo od biedy na jeden dzień. Była jędzą, co do tego nie ma dwóch zdań, ale przecież była ich matką! A w dodatku starą ko-bietą. Oczywiście, teraz wiem znacznie więcej niż wtedy, ale...

Co?

Tak, to prawda. Niech mnie dunder świśnie, jeśli kłamię, jak mówią moje wnuki. Zadzwońcie do tego tam Greenbusha, jeśli mi nie wierzycie. Nie wątpię, że kiedy wieść się rozniesie – a rozniesie się na pewno, już wy się nie bójcie – bangorskie „Daily News” zamieści jeden z tych swoich ckliwych artyku-łów, że to niby takie cudowne. Wierzcie mi, nie ma w tym nic cudownego. Jeden pieprzony koszmar! Bez względu na to, co sobie wyjaśnimy, ludzie będą gadać, że najpierw, cwaniara, skołowałam biedaczkę, a potem ją zabiłam. Właśnie tak będzie,

Andy; nawet nie próbuj zaprzeczyć. Żadna siła nie powstrzyma ludzi od tego, żeby myśleli o kimś najgorsze, jeśli tylko mają jakiś pretekst.

Ale to wszystko bzdura. Do niczego jej nie zmuszałam, a tego, co zrobiła, na pewno nie zrobiła dlatego, że mnie kochała czy choćby lubiła. Może uznała, że jest mi coś winna; właściwie mogła od dawna uważać, że ma wobec mnie dług wdzięczności, lecz nie byłoby w jej stylu zająknąć się słówkiem na ten temat. Może więc w taki sposób chciała mi podziękować... Nie za to, że zmieniałam jej zafajdane pieluchy, lecz za to, że byłam u jej boku, kiedy z kątów wysuwały się druty, a koty kurzu wylażyły spod łóżka.

Wiem, wiem... nie macie pojęcia, o czym gadam, ale cierpliwości. Obiecuję, że zanim otworzycie drzwi i wyjdziecie z tego pomieszczenia, zrozumiecie wszystko.

Vera dawała się każdemu we znaki z trzech powodów. Znałam baby, u których byś znalazł i więcej powodów, ale trzy to i tak sporo jak na sklerotyczną staruszkę spędzającą całe dni albo w łóżku, albo na wózku inwalidzkim. Całkiem sporo, cholera.

Pierwszy powód był taki, że urodziła się jędzą i nic na to nie mogła poradzić. Pamiętacie, co mówiłam o spinaczach do bielelizny, że kazała używać sześciu zamiast czterech? No, to tylko jeden przykład.

Jeśli chciało się pracować dla Very Całuj-Mnie-W-Tylek, pewne rzeczy po prostu należało robić zgodnie z jej życzeniami, i lepiej było o tym pamiętać. Z góry każdemu mówiła, czego będzie wymagać, i mogę was zapewnić, że umiała postawić na swoim. Jeśli zapomniało się o czymś raz, dostawało się burę. Jeśli dwa razy, potraçała z pensji. Jeśli trzy razy, wywalala z roboty i nie obchodziły ją żadne tłumaczenia. Takie miała zasady, lecz mnie to nie przeszkadzało. Surowe, ale sprawiedliwe. Jeśli powtarzała służącej dwa razy, na którym blacie należy stawiać formę z ciastem po wyjęciu z pieca i pouczała ją, żeby przypadkiem nie stawiała blachy na parapecie okiennym, jak

to niektóre kobiety mają w zwyczaju, a ta wciąż nie potrafiła tego zapamiętać, było bardzo prawdopodobne, że nie zapamięta nigdy.

Do trzech razy sztuka i fora ze dwora, taka była reguła i absolutnie żadnych wyjątków, toteż w ciągu tych lat kiedy pracowałam u Very, przez dom przewinął się cały tłum kobiet. Dawnymi czasy nieraz słyszałam narzekania, że iść pracować u Donovanów to tak, jakby wejść w drzwi obrotowe; można zrobić jedno kółko, dwa, niektórym udawało się nawet z dziesięć czy dwanaście, ale w końcu i tak lądował człowiek z powrotem na chodniku. Więc kiedy po raz pierwszy poszłam do Very na służbę – jeszcze w czterdziestym dziewiątym – czułam się, jakbym wchodziła do smoczej jamy. Ale wcale nie była taka zła, jak ludziska gadali. Jeśli tylko miało się uszy szeroko otwarte, miało się i robotę. Ja słuchałam poleceń, ten jej fagas również. Ale cały czas trzeba było mieć się na baczności, bo nie spuszczała nas z oka, w dodatku znała wyspiarzy lepiej niż jacykolwiek inni letnicy... i potrafiła być wredna. Nawet zanim jeszcze spadły na nią te wszystkie nieszczęścia, potrafiła być wredną cholera. Zupełnie jak gdyby czerpała z tego przyjemność.

– Co ty tu robisz? – spytała mnie pierwszego dnia. – Nie powinnaś siedzieć w domu, niańczyć małej i pichcić obiadków najdroższemu mężulkowi?

– Pani Cullum powiedziała, że chętnie zajmie się Seleną przez cztery godziny dziennie – odparłam. – Dlatego mogę pracować tylko na pół etatu.

– Dokładnie o to mi chodzi, co chyba było jasno i wyraźnie sformułowane w ogłoszeniu, które zamieściłam w waszej nędznej lokalnej gazecie... Tutejsi redaktorzy nie mają nawet pojęcia, jak powinna wyglądać gazeta! – odpaliła natychmiast i choć tym razem nie na mnie skierowała swój gniew, później nieraz zdarzyło jej się tak mi przygadać, że w pięty mi poszło.

Pamiętam, że tego dnia robiła coś na drutach. Druty dosłownie śmigały jej w palcach – w ciągu dnia potrafiła zrobić parę

skarpet, nawet jeśli zaczęła dopiero o dziesiątej. Ale jak powiedziała, musiała być w nastroju.

– Tak, pszepani – odpowiedziałam. – Tak pisało.

– Nie nazywam się „Pszepani” – oznajmiła, odkładając robotkę – tylko Vera Donovan. Jeśli cię zatrudnię, będę ci mówić po imieniu, Dolores, a ty masz się do mnie zwracać pani Donovan, dopóki nie uznam, że znamy się na tyle długo, byś mogła zwracać się inaczej. Jasne?

– Tak, pani Donovan.

– W porządku, przynajmniej jedną rzecz mamy z głowy. A teraz odpowiedz na moje pytanie. Czego tu szukasz, skoro masz własny dom, którym powinnaś się zająć?

– Chcę tylko zarobić trochę pieniędzy na prezenty gwiazdkowe. – Postanowiłam, że właśnie tak powiem, gdyby mnie o to spytała. – Ale jeśli będzie pani ze mnie zadowolona... i jeśli mnie również spodoba się praca u pani, ma się rozumieć... może zdecyduję się zostać trochę dłużej.

– Jeśli tobie spodoba się praca u mnie? – Wywróciła oczy, jakby jeszcze nigdy nie słyszała czegoś tak durnego; w głowie jej się nie mieściło, że komuś może nie odpowiadać praca u wielkiej Very Donovan. – Chcesz tylko zarobić na prezenty gwiazdkowe, tak? – spytała, a po chwili powtórzyła jeszcze bardziej sarkastycznym tonem: – Chcesz tylko zarobić na prezenty gwiazdkowe, tak?

Podejrzewała mnie o kłamstwo. Była pewna, że stoi przed nią młoda mężatka, która ledwo zdążyła wycesać z włosów ryż, a już ma kłopoty małżeńskie, i czekała, aż się zarumienię i spuszczę oczy ze wstydu. Więc ani się nie zarumieniłam, ani nie spuściłam oczu, choć miałam dopiero dwadzieścia dwa lata i nie było mi łatwo się opanować. Ale do swoich kłopotów małżeńskich nie przyznałabym się żywej duszy, nawet na torturach. Trochę grosza na gwiazdkowe prezenty to wystarczający powód dla takiej Very; niech sobie myśli, co chce. Zresztą nawet sobie wmówiłam, że przydałoby mi się więcej forsy na prowadzenie domu, bo z forsa jest ostatnio jakoś krucho. Dopiero po latach

zrozumiałam, że prawdziwym powodem, dla którego poszłam stawić czoło smokowi w jego własnej jamie, było to, że musiałam sama zacząć zarabiać na życie, bo Joe przepijał wszystko albo przegrywał w pokera w piątkowe wieczory w karczmie Fudgy'ego po drugiej stronie przesmyku. W tamtych czasach wciąż wierzyłam, że miłość, jaką darzy się dwoje ludzi, jest silniejsza niż pociąg do wody i hulanki – że miłość wypłynie na wierzch jak śmietana w butelce mleka. Następne dziesięć lat nauczyło mnie, że wcale tak nie jest. Czasem życie to najtrudniejsza szkoła, prawda?

– No więc zobaczmy, czy sobie przypadniemy do gustu, czy nie, Dolores St. George... chociaż nawet jeśli się sprawdzisz, pewnie za rok czy dwa znów zajdziesz w ciążę i więcej cię nie zobaczę.

Prawdę mówiąc, już wtedy byłam w drugim miesiącu ciąży, ale do tego też bym się nie przyznała, nawet gdyby mi wyrwano paznokcie. Zależało mi na tych dziesięciu dolarach tygodniowo, które płaciła, choć możecie mi wierzyć, że każdego centa okupiłam własnym potem. Harowałam jak dziki osioł przez całe lato, ale za to pod koniec sierpnia Vera spytała, czy nie chciałabym zajmować się domem, kiedy wyjadą do Baltimore, bo tak dużym domem trzeba się zajmować przez okrągły rok, żeby nie zarósł brudem. Odpowiedziałam, że chętnie.

Przerwałam pracę dopiero miesiąc przed urodzeniem Jima, a wróciłam, zanim jeszcze odstawiłam go od cycka. Latem podrzuciłam synka do Arlene Cullum – Vera za nic nie zgodziłaby się na obecność w domu płaczącego dziecka – ale kiedy jesienią Donovanowie opuszczali wyspę, zabierałam ze sobą i jego, i Selenę. Selenę mogłam z reguły zostawiać samą – nawet gdy miała zaledwie trzy latka, byłam spokojna, że nic nie przeszkobie. Jima zwykle nosiłam po całym domu. Pierwsze kroki nauczył się stawiać w sypialni Donovanów, choć nie byłam taka głupia, żeby mówić o tym Verze.

Zadzwoiła do mnie tydzień po połogu (wahałam się, czy wysłać jej zawiadomienie o urodzeniu dziecka; w końcu do-

szłam do wniosku, że jeśli uzna to za przymawianie się o jakiś drogi prezent, jej sprawa), pogratulowała mi syna, a potem powiedziała (chyba głównie z tym dzwoniła), że nie zatrudni nikogo na moje miejsce. Pewnie myślała, że się ucieszę, i rzeczywiście, zrobiło mi się przyjemnie. Był to najwyższy komplement, jaki mogłam od niej usłyszeć, i znaczył dla mnie o niebo więcej niż prezent, czek na dwadzieścia pięć dolarów, który przyszedł pocztą w grudniu.

Była twarda, ale sprawiedliwa, i to ona trzęsła całym domem. Jej mąż pojawiał się na wyspie nie częściej niż raz na dziesięć dni, nawet w lecie, kiedy niby mieszkali tu na okrągło, a widząc ich razem, łatwo było poznać, kto naprawdę rządzi. Może i facet miał pod sobą z dwustu dyrektorów, którzy jak tylko warknął na nich: „Co wy pierdolicie?!”, to od razu lecieli po żony i kochanki, żeby mu pokazać, ale w domu szefem była Vera i ilekroć mówiła mu, żeby zdjął buty, bo zabłoci dywan, ściągał je posłusznie.

Jak wam już wspomniałam, Vera miała własne zdanie na temat tego, jak co należy robić. I nie było z nią żartów! Nie wiem, skąd jej te różne pomysły przychodziły do głowy, ale wiem, że sama była ich niewolnicą. Jeśli coś zrobiono nie po jej myśli, to albo zaraz bolała ją głowa, albo dokuczał jej brzuch. W dodatku sprawdzanie, czy wszystko zostało wykonane rzeczywiście według poleceń, zajmowało jej tyle czasu, że równie dobrze mogłaby sama prowadzić dom i zaoszczędzić sobie nerwów.

Na przykład do szorowania wanien należało używać Spic and Span. Nie Lestoil, nie Top Job, nie Mr. Clean. Tylko Spic and Span. Jeśli przyłapała służącą na czyszczeniu wanny innym środkiem, biada nieszczęsnej!

Przed prasowaniem trzeba było spryskiwać kołnierzyki koszul i bluzek specjalnym krochmalem w aerozolu, koniecznie przez kawałek gazy. Gaza nic nie dawała – wiem, co mówię, bo w domu Donovanów uprasowałam ładnych kilka tysięcy koszul i bluzek – ale jeśli Vera weszła do prasowni i zobaczyła, że któraś zapomniała o tej cholernej gazie, biada nieszczęsnej!

Jeśli służąca wzięła się do smażenia, a nie włączyła w kuchni wentylatora, biada nieszczęsnej!

Kolejny powód do awantur stanowiły kubły na śmieci stojące w garażu. Było ich sześć. Sonny Quist przyjeżdżał co tydzień, żeby je opróżnić, i ta służąca, która akurat znajdowała się najbliżej, miała obowiązek wtaszczyć je z powrotem, zanim jeszcze Sonny zniknie za zakrętem. Oczywiście kubłów nie można było po prostu zostawić w kącie; należało je ustawić w dwuszeregu wzdłuż wschodniej ściany, kładąc na każdym odwróconą pokrywkę. Jeśli która zrobiła coś nie tak, biada nieszczęsnej!

Podobnie było z trzema wycieraczkami z napisem WITAMY. Jedna leżała przed głównym wejściem, druga przed drzwiami oszklonej werandy, trzecia przy drzwiach kuchennych, na których całymi latami wisiała tabliczka z uwłaczającym napisem DLA SŁUŻBY, dopóki w zeszłym roku nie zezłościłam się i jej nie zdjęłam. Raz w tygodniu wszystkie wycieraczki trzeba było kłaść na wielkim kamieniu na końcu podwórza, ze czterdzieści metrów od basenu, i walić trzepaczką. Walić tak, żeby szły tumany kurzu, bo Vera lubiła sprawdzać, czy służąca się przypadkiem nie leni. Wprawdzie nie robiła tego za każdym razem, ale jednak dość często. Wychodziła na oszkloną werandę i obserwowała trzepanie przez mężowską lornetkę. A kiedy odnosiło się wycieraczki na miejsce, należało pamiętać, żeby koniecznie ułożyć je prawidłowo. Czyli tak, żeby osoba zbliżająca się do drzwi mogła odczytać napis. Jeśli która położyła wycieraczkę do góry nogami, biada nieszczęsnej!

Były dziesiątki takich reguł. Przed laty, kiedy dopiero co najęłam się u Very do pracy, nieraz słyszałam, stojąc w kolejce do sklepu spożywczego, jak dziewczuchy na nią utyskują. W latach pięćdziesiątych Donovanowie często wydawali przyjęcia, więc zatrudniali liczną służbę. Zwykle najgłośniejszą gardłowała na Verę któraś z tych młodych gęsi, wynajętych na kilka godzin dziennie i szybko wywalonych za to, że trzy razy pod rząd źle wykonały to samo polecenie. Rozповідаła taka później na

prawo i lewo, że Vera Donovan to wredna, kłótniwa stara prukwa, w dodatku tego stuknięta. Niektórym rzeczywiście mogło się wydawać, że Vera jest pomyłona, ale powiem wam jedno: nigdy nie wywaliła z pracy dziewczyny, która stosowała się do jej zasad. Ja tak na to patrzę: jeśli ktoś potrafi zapamiętać, z kim syją wszyscy bohaterowie popołudniowych seriali, powinien umieć sobie zakonotować, że do mycia wanien ma używać płynu Spic and Span, a wycieraczki kłaść napisem we właściwą stronę.

Ale wspomniałam o prześcieradłach. Jeśli chodzi o prześcieradła, Vera nie tolerowała najmniejszej pomyłki. Musiały wisieć na sznurze idealnie równo – tak żeby jeden brzeg nie był niżej od drugiego – i zawsze należało mocować każdą sztukę sześcioma spinaczami. Nie czterema, a właśnie sześcioma. I nie daj Boże, jeśli służącej zdarzyło się uwaląć skraj błotem, bo wtedy Vera od razu wywalała ją na zbity pysk, nie czekając, aż biedaczka powtórzy ten sam błąd trzy razy. Sznury wisiały z boku domu, dokładnie pod oknem sypialni Very. Ilekroć wieszalałam pranie, Vera podchodziła do okna i darła się:

– Tylko pamiętaj, Dolores, sześć spinaczy! Pamiętaj, co ci mówię! Sześć, nie cztery! Liczę, a wzrok wciąż mam dobry!

Czasami...

Co takiego, złotko?

Och cicho, Andy, daj jej mówić! Bardzo słuszne pytanie i żaden facet nie miałby dość rozumu, żeby je zadać.

Oczywiście, Nancy Bannister z Kennebunk w stanie Maine, że Vera miała suszarkę, dużą i naprawdę dobrą, ale nie pozwalała suszyć w niej prześcieradeł, chyba że zapowiadano ulewę na najbliższe pięć dni.

– Najprzyjemniej śpi się w pościeli, kiedy wyschła na dworze – mawiała. – Pachnie wiatrem, który ją owiewał, a ten zapach sprawia, że ma się miłe sny.

Vera często wygadywała bzdury, ale akurat w tym wypadku miała świętą rację. Każdy od razu pozna różnicę między pościelą wrzuconą do suszarki, a taką, którą wysuszyły podmuchy

południowego wiatru. Lecz w zimowe ranki, kiedy temperatura spadała do minus dwunastu stopni, a ze wschodu wiał silny, wilgotny wiatr znad Atlantyku, zrezygnowałabym z miłego zapachu bez słowa protestu. Bo wieszanie prześcieradeł na mrozie to fizyczna tortura! Ktoś, kto tego nie robił, nawet sobie nie wyobraża, jaka to męka – ale później już zawsze pamięta się ten ból.

Wynosisz na podwórze kosz parującej pościeli, zaczynasz wieszać pierwsze, wciąż jeszcze ciepłe prześcieradło i jeśli nigdy dotąd nie robiłaś tego na mrozie, myślisz sobie: „E, wcale nie jest tak źle”. Zanim jednak wyrównasz brzegi i zamocujesz sześć spinaczy, prześcieradło przestaje parować. Nadal jest mokre, ale teraz na dokładkę i zimne. Twoje palce też są mokre i potwornie zimne. A tu trzeba wieszać drugą sztukę, potem третią i czwartą. Palce masz czerwone i zgrabiące, bołą cię ramiona, wargi drętwieją od trzymania w nich spinaczy, ale przecież nie możesz trzymać ich w ręku, bo obie ręce musisz mieć wolne, żeby wieszać pościel. Najgorszy jest ból palców. Gdyby po prostu drętwiały! Aż marzy ci się, żeby tak było. Tymczasem one robią się coraz bardziej czerwone, a jeśli prania jest dużo, to przybierają kolor bladofioletowy, jak lilie. Pod koniec zamiast palców masz sine szpony. I myślisz z przerażeniem o tym, co cię czeka, kiedy wrócisz z pustym koszem do domu i znów znajdziesz się w cieple. Najpierw poczujesz mrowienie w dłoniach, a potem rwanie w stawach, zupełnie jakby tam głęboko w środku wszystko skowyczało z bólu. Nie umiem tego lepiej opisać, Andy, ale Nancy Bannister ma taką minę, jakby wiedziała, o czym mówię, choć rozwieszanie prania zimą na lądzie to jednak nie to samo, co u nas na wyspie. Kiedy palce trochę ci się ogrzeją, zaczynają piec, jakby użądliło je stado os. Więc nacierasz je kremem i czekasz, aż pieczenie minie. Bez względu na to, czy stosujesz specjalny krem, czy zwykły owczy łój, pod koniec lutego masz tak potwornie wysuszone dłonie, że skóra ci pęka i krwawi, gdy tylko zaciskasz pięść. Czasami, kiedy już się dawno rozgrzałaś i wlałaś do

łóżka, budzisz się w środku nocy, bo twoje ręce skowyczą na wspomnienie bólu. Myślicie, że żartuję? Dobra, śmieJCie się, jeśli chcecie, ale zapewniam was, że mówię prawdę. Skomlą jak porzucone szczenięta. Leżysz i słuchasz dobiegającego gdzieś z głębi skomlenia, i nie opuszcza cię świadomość, że wkrótce znów trzeba będzie wieszać na mrozie pościel i nie ma na to żadnej rady, bo wieszanie pościeli jest jednym z tych przykrych kobiecych obowiązków, o których faceci ani nic nie wiedzą, ani nie chcą wiedzieć.

I kiedy zgrabiętymi, sinymi rękami wieszałam prześcieradła, czując, jak ramiona omdlewają mi ze zmęczenia, a skapujące z nosa gluty zamarzają na górnej wardze i przyklejają się mocno jak kleszcze, Vera zwykle stawiała lub siadała przy oknie i obserwowała mnie. Czoło miała zmarszczone, usta ściągnięte i wyłamując sobie nerwowo palce, śledziła moje ruchy z takim napięciem, jakby na jej oczach dokonywał się skomplikowany zabieg chirurgiczny, a nie wieszanie pościeli, żeby wyschła na zimnym wietrze. Widziałam, jak walczy ze sobą, jak bardzo się stara trzymać głęę na kłódkę, ale to było silniejsze od niej; po pewnym czasie – nie mogąc się dłużej opanować – podnosiła okno, wychylała się tak, że zimny wschodni wiatr targał jej włosy, i darła się:

– Sześć spinaczy! Pamiętaj, sześć spinaczy na każdym! Nie chcę, żeby wiatr porozrzucał mi pościel po całej okolicy! Tylko bez fochów, Dolores! Sześć spinaczy na każde, pamiętaj, że patrzę i liczę!

Jakoś to znosiłam do końca lutego, ale od początku marca musiałam mocno zaciskać zęby, żeby nie pognać po siekierę, którą ja albo ten jej fagas rąbaliśmy drwa na opał – potem kiedy zginął, robiłam to sama (szczęściara ze mnie, co?) – i nie wałnąć jazgoczącej wiedźmy prosto między oczy. Tak mnie potrafiła wkurzyć, że czasem wyobrażałam sobie, jak rozwałam jej łeb, ale chyba gdzieś w głębi duszy zawsze wiedziałam, że Vera nienawidzi się za te wrzaski równie mocno, jak ja jej.

To był pierwszy powód, dlaczego dawała się każdemu we

znaki – po prostu nie umiała się powstrzymać. W sumie bardziej doskwierało to jej samej niż mnie, zwłaszcza później, po tych poważniejszych wylewach. Było wtedy znacznie mniej prania, ale Vera miała identycznego bzika na punkcie wieszania prześcieradeł jak dawniej, zanim jeszcze pozamykano większość pokoi, a pościel pościągano z łóżek gościnnych, zawinięto w plastik i schowano do bielizniarki.

Zaczęło jej to doskwierać dlatego, że gdzieś od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku nie była już w stanie sprawdzać, czy właściwie spełniam jej polecenia – beze mnie w ogóle nie była się w stanie poruszać. Gdybym nie podnosiła jej z łóżka i nie sadzała na wózku, leżałaby cały dzionek. Wiecie, strasznie się spasała: z pięćdziesięciu dziewięciu kilo na początku lat sześćdziesiątych utyla do osiemdziesięciu sześciu. Z rąk, z nóg i z tyłka zwisał jej żółty, galaretowaty tłuszcz, jaki się widzi tylko u starych osób. Zwisał jak ciasto z patyka. Niektóre kobiety stają się na starość chude i żyłaste, ale Vera Donovan do nich nie należała. Doktor Freneau mówił, że jej nerki nie pracują prawidłowo i dlatego tak jest. Pewnie miał rację, ale nieraz gotowa byłam przysiąc, że utuczyła się specjalnie, żeby zrobić mi na złość.

Była nie tylko gruba, ale na skutek wylewów niemal ślepa jak kret. Czasami coś tam widziała, czasami w ogóle nic. Zdarzało się, że prawym okiem widziała całkiem dobrze, a lewym niewiele gorzej, ale zwykle – jak mówiła – było to tak, jakby patrzyła na świat przez grubą szarą zasłonę. Chyba możecie sobie wyobrazić, jak to ją doprowadzało do szału; ją, która zawsze lubiła mieć wszystko na oku! Kilka razy nawet pobeczała się z tego powodu, a wiercie mi, taką twardą babę jak ona mało co potrafiło doprowadzić do łez... a chociaż wiek zgiął jej dumny kark, nadal była twardą babą.

Co, Frank?

Czy można by ją uznać za niepoczytalną?

Przyznam się, że sama dobrze nie wiem. Chyba jednak nie. Pewnie, że miała sklerozę, ale to jeszcze o niczym nie

świadczy. I nie mówię tak wyłącznie dlatego, że gdyby uznać ją za niepoczytalną, to sędzia, przed którym będzie się toczyć postępowanie spadkowe, wydmuchałby nos w jej testament i wyrzucił go do śmieci. Jeśli chodzi o mnie, sędzia może sobie podetrzeć tyłek jej testamentem; jedyne, czego pragnę, to wydostać się jakoś, cholera jasna, z tarapatów, w jakie mnie wpakowała. Moim zdaniem nie brakowało jej żadnej klepki, nawet pod sam koniec. Może jedna czy druga była obluzowana, ale wciąż tkwiły na swoim miejscu.

Zdarzały się dni, gdy umysł miała sprawny jak dawniej. Na ogół były to te same dni, kiedy lepiej widziała i z niewielką pomocą potrafiła usiąść na łóżku, a czasem także przejść dwa kroki od łóżka do wózka; w te dni nie musiałam jej targać jak wora pszenicy. Zwykle sadzałam ją na wózku, żeby zmienić pościel; lubiła w nim siedzieć, bo mogła podjechać do okna, z którego roztaczał się widok na podwórze i dalej na port. Kiedyś powiedziała, że zbzikowałaby do reszty, gdyby musiała leżeć w łóżku dzień w dzień i noc w noc, gapiąc się tylko na sufit czy ściany. I nic dziwnego.

Pewnie, miewała gorsze dni, kiedy nie wiedziała, kim jestem, a chwilami nawet nie bardzo kojarzyła, kim sama jest. W te dni była jak łódź, która zerwała się z cum i pływa po oceanie czasu – na przykład rano zdawało jej się, że jest rok tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy, a po południu, że tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty. Ale miała też i dobre dni. Oczywiście z biegiem lat, w miarę jak przechodziła kolejne drobne wylewy, zdarzały się one coraz rzadziej. Niestety dobre dni Very często były moim utrapieniem, gdyż wtedy na wszystkie sposoby usiłowała zaleźć mi za skórę.

Znów stawiała się jędzą. Bo drugi powód, dla czego dawała się ludziom we znaki, polegał na tym, że po prostu lubiła być jędzą, jędzą do kwadratu. Nawet przykuta przez większość czasu do łóżka, w pieluchach i w gumowych majtkach, potrafiła wycinać mi takie numery, że aż mózg staje. Opowiem wam, co wyprawiała w dni przeznaczone na sprzątanie. Wprawdzie nie

co tydzień, jednak zbyt często akurat w czwartki, żeby to mógł być przypadek.

W czwartki zawsze odbywało się wielkie sprzątanie. Dopiero kiedy rozejrzeć się po wnętrzu, widać, jaki dom Very jest ogromny, tyle że teraz większości pokoi już się nie używa. Takie obrazki, jak sześć dziewczyn w chustkach na głowach zajętych polerowaniem posadzki, myciem okien i wymiataniem pajęczyn z rogów od ponad dwudziestu lat należą do przeszłości. Czasem spacerując wśród tych posępnych murów i patrząc na meble zakryte pokrowcami, przypominałam sobie, jak dom wyglądał w latach pięćdziesiątych, kiedy w lipcu i w sierpniu wydawano przyjęcia – trawnik zawsze oświetlały kolorowe lampiony, doskonale to pamiętam! – i aż mnie ciarki przechodziły po grzbiecie. Zauważyliście, że z biegiem czasu coraz mniej jest w życiu wesołych kolorów? Pod koniec wszystko staje się szare jak pokrowce na meblach czy sukienka prana zbyt wiele razy.

Przez ostatnie cztery lata jedyne pomieszczenia, z jakich się korzystało, to kuchnia, główny salon, jadalnia i oszklona weranda, której okna wychodzą na trawnik i basen, oraz cztery pokoje na piętrze – Very, mój i dwa przeznaczone dla gości. Pokoje gościnne rzadko ogrzewano w zimie, ale utrzymywałam je w czystości na wypadek, gdyby dzieci Very postanowiły ją jednak odwiedzić.

W ciągu ostatnich lat pomagały mi w czwartki dwie dziewczyny z miasteczka. Służba często zmieniała się u Donovanów, ale od mniej więcej dziewięćdziesiątego roku były to Shawna Wyndham i siostra Franka, Susy. Bez nich nie dałabym sobie rady, ale i tak miałam pełne ręce roboty, więc kiedy o czwartej wreszcie znikwały za drzwiami, ślaniałam się ze zmęczenia. A zwykle musiałam jeszcze dokończyć prasowania, zrobić listę zakupów na piątek i przygotować kolację dla Jej Wysokości. Jak powiadają, bez pracy nie ma kołaczy.

Ale najgorsze w czwartki było to, że właśnie tego dnia Vera wycinała mi swoje najpaskudniejsze numery.